Rok 1898. Lwów, dnia 12. kwietnia. Nr. 15.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

DRAMATY ŻYCIA

Dramacie życia, bywasz czasem krwawy,
W krwi purpurowej pławisz swe ofiary,
Na scenie życia stawiasz trumny, mary
Uczuć płomieni, jak wybuchy lawy, —
Jednak ty wtedy tylko trwożysz kłamnie
I w takiej formie tyś nie straszny dla mnie.

Znam cię ja także bez piorunów bicia
W błyskawicowe nieprzybranym wstęgi,
Bez szczęku miecza i uczuć potęgi,
Znam cię i z takim walczę od powicia...
Jak pajęczyna oplotłeś mą duszę,
Napróżno więzy twe zerwać się kuszę.

Nie straszne dla mnie krwawej śmierci żniwo,
Cierpień piorunnych, wielkich walk tysiące,
Lecz straszne życia kałuże cuchnące:
One dopiero tragedją prawdziwą,
Co w głębi duchów, niby tygrys, drzemie,
A nosi cichą nazwę — życia brzemię.

* * *

O brzemię życia! jak ty gnieciesz duszę
I jakie męki zadajesz bez przerwy!
Twe kanty wpić się umieją w mózg, w nerwy,
I duchom takie zadawać katusze,
Że najsilniejszy wznieść się nie jest w stanie
Ponad rozpaczy bezdenne otchłanie.

O brzemię życia! twój ciężar mnie gniecie,
A brak ramienia, które wesprzeć może!
Sam w nieskończonym błądzę wciąż przestworze
Smutny, jak groby, a słaby, jak dziecię!
Żadne przedemną gwiazdy nie migocą,
Więc pytam: poco żyć i walczyć poco?

Zazdroszczę dębom, w które piorun trzaska,
Zazdroszczę kwiatom, podciętym przez kosę,
I brzemię życia, gnąc się, z jękiem niosę. —
Żyję, choć śmierć mi byłaby jak łaska,
Żyję, choć serce od tak dawna kona,
I bladej śmierci tak nęcą ramiona...

* * *

Gdzie szukać ciebie, o gwiazdo przewodnia,
Która mi świecić miałaś w życia drodze?
Zgasłaś, — wśród mroków nieskończonych chodzę,
Zgasłaś, jak z wiatru podmuchem pochodnia,
Zgasłaś, choć świecić miałaś mi tak jasno, —
A ja myślałem, że gwiazdy nie gasną!..

A ja myślałem, że na życia fali
W mroku bez końca błądzić niepodobna,
Że choć na chwilę zmilknie pieśń żałobna,
I spocznę, zanim w ciemność pójdę dalej,
Że mnie gdzieś w końcu czeka przystań cicha,
Do jakiej duch mój od tak dawna wzdycha...

A ja myślałem, że po ciężkiej walce
Sercu się chwila należy wytchnienia,
Że trwać bez końca nie mogą cierpienia
Że złej Nemezis zakrzywione palce
Serca tak szarpać bez końca nie mogą...
O jakże była pomyłka ma srogą!..

SELIM.

FREDRO i GOSZCZYŃSKI

Notatka literacka.

Artykuły biograficzne o Aleksandrze Fredrze, umieszczane w ostatnich czasach w rozmaitych dziennikach, potrącają o datę 1835 r., w którym Fredro przerwał na lat kilkanaście twórczość komedjopisarską. Stało się już komunałem w podręcznikach dziejów piśmiennictwa, że tę krzywdę, wyrządzoną literaturze polskiej milczeniem Fredry, spowodował S. Goszczyński, ogłaszając niesprawiedliwą krytykę jego komedji. W r. 1835, tj. po wyjściu pierwszego zbioru komedji Fredry, ukazał się w krakowskim *Pamiętniku Powszechnym Nauk i Umiejętności* artykuł Goszczyńskiego „O nowej epoce poezji polskiej", który odmówił rozgłośnemu już wówczas komedjopisarzowi tytułu pisarza narodowego.

„Nazwiska polskie — pisał — nie są tem samem, co charaktery polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów; pasztet przysłów bez związku z charakterami i z całością dzieła jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu to rys jego kosmopolityczny: a to jest właśnie i wszystko, co ma stanowić polskość komedji Fredry. Ale cnoty, wady, śmieszności, charakterów pojedynczych, fizjognomji ogólnej, zgoła tego, co tworzy pomniki prawdziwe narodowej indywidualności, napróżnobyś usiłował tam szukać".

Fredro był wówczas — jak zeznają jego bjografowie — w stanie szczególnego rozdrażnienia ambicji autorskich: artykuł Goszczyńskiego wytrącił mu pióro z ręki. Zapewne krytyk nie spodziewał się takiego skutku. Pisał w dobrej wierze, zgodnie z doktryną „romantyzmu", z Warszawy przywiezioną; to samo, co on napisał, powtarzało otoczenie, w którem się obracał, bardzo demokratycznie usposobione, w hasłach literackich upatrujące główną dyrektywę życia. Nikt się przecież nie ujął za Fredrą, bo nie był to czas Fredry; nastał w Galicyi okres Bielowskiego, Goszczyńskiego i tym podobnych. Zwłaszcza Goszczyński, spragniony w niezbyt literackiej Galicji utarczek literackich, które w Warszawie stanowiły tak ważny czynnik życia duchowego, nie krępował się przy zdarzonej sposobności wypowiedzieć bez ogródki to, co czuł. Zasad narodowości w sztuce uczyli go zblizka Brodziński, Mochnacki, Grabowski; on je, można powiedzieć, kuł z dwoma ostatniemi, on te zasady w ogniu życia przyśpieszonego hartował; spostrzegał doskonale, czuł instynktem, gdzie jest, a gdzie niema owej „narodowej indywidualności": on wreszcie uczynił własnej twórczości — być pisarzem narodowym i zadaniu temu sprostał. Był więc na swój czas dobrym sędzią Fredry; oceniło to pokolenie rówieśne, rej w społeczeństwie wiodące, które, jak się rzekło, w obronie Fredry stawać nie myślało.

Nie tylko do utworów sztuki, lecz i do krytyki dziejopis przykładać winien miarę historyczną. Mniemam, że gdyby pojęcie narodowości, w krytyce przez Goszczyńskiego wyrażone, nie odpowiadało duchowi czasu swojego, krytyka ta zarzucająca komedjom Fredry brak poczucia narodowości, nie dotknęłaby Fredry do żywego, i w takim stopniu. Inaczej pojmowali to zdarzenie literaccy krytycy warszawscy. W 40 lat potem Lewestam np. traktuje tę krytykę jako plamę na sumieniu Goszczyńskiego. Nie szczędzi mu przygany w ostrych słowach. Nazywa ową krytykę „artykułem nieszczęśliwej pamięci", argumenty w nim użyte — „gołosłownemi frazesami". samego zaś autora — „istnym embrjonem estetyka", „estetykiem w powijakach, który nieco ogólników zaczerpnął z Brodzińskiego i z Mochnackiego".

Życie wówczas wiązało się z twórczością literacką spoiście, ściślej, aniżeli teraz. Fredro i Goszczyński należeli do dwóch odmiennych formacji nietylko literackich: jako obywatele, również z sobą nie harmonizowali. Pierwszy z przekonań należał do grupy bogatych ziemian, drugi do młodzieży. noszącej barwę Towarzystwa demokratycznego; różnili się poglądami społecznemi, odmiennem pojmowaniem dróg postępowania publicznego, wreszcie temperamentem.

Goszczyński zetknął się osobiście z hrabią Fredrą w r. 1832 w następujących okolicznościach, nieznanych dotąd bjografom obu tych pisarzy. Goszczyński należał wówczas do grona ludzi, ściśle z sobą związanych przekonaniami i celami działalności; w gronie tem znajdowali się wybitni ludzie swego czasu: August Bielowski, Wincenty Pol, Józef Zaleski, Józef Tetmajer, Ignacy Kulczyński, Ludwik Jabłonowski, Mieczysław Darowski, Jan Podolecki, Teofil Januszewicz i w. i. W gronie tem powstała myśl stworzenia czasopisma, za którego pomocą ci ludzie wspólnych przekonań mogliby szerzyć wpływ na Galicję bardzo wówczas ubogą pod względem dziennikarskim. Goszczyński z Bielowskim, Polem i paru innemi organ ten mieli otworzyć, ale nie posiadali odpowiednich funduszów. Hr. Ksawery Krasicki, który tego grona się trzymał zblizka, acz z pewną rezerwą, podjął się wyjednać na ten cel środki od ziemian. Sprosił tedy komitet ziemiański i, jako prezydujący przedstawił mu projekt czasopisma. Projekt ten podobał się; zgodzono się dać pieniędzy, ale hrabia Fredro postawił warunek, że tenże komitet kontrolować będzie działalność redakcji tak, żeby każdy artykuł przechodził przed ogłoszeniem przez komitet. Do takiej ostrożności zmusza go, jak się wyraził, obawa, żeby w czasopiśmie tem nie zjawiły się utwory ze złą tendencją. Jako przykład takich utworów, wymienił jeden z wierszy Goszczyńskiego z roku 1824.

O to wymaganie rozbił się projekt czasopisma, a Goszczyński, jak sam wyznaje w pamiętniku, „stracił dla Fredry szacunek". Bardzo czuł się tem obrażony; z właściwą sobie szorstkością powiedział sekretarzowi komitetu Podoleckiemu: „Szlachta wasza myśli, że artykuły to są woły. i chce próbować ich wartości tak, jak się probuje woły"...

Zapewne, wypadek ten nie mógł pozostać bez wpływu na usposobienie Goszczyńskiego do Fredry na przyszłość; w trzy lata potem, pisząc krytykę, mógł umyślnie naciskać pióro, żeby ten brak „szacunku" mu okazać. Ale kto zna charakter Goszczyńskiego, ten ani

chwili nie zwątpi, że nie kłamał swemu szczeremu przekonaniu, odmawiając hr. Fredrze poczucia narodowości. Niechęć jego do Fredry wpłynęła na dosadność, z którą pogląd swój wypowiedział, na szorstkość krytyki, na jej ton bezwzględny, lecz treść zarzutów wypływała z głębi jego teorji estetycznych i osobistego poczucia artystycznego.

Czem i dlaczego różnili się ci dwaj pisarze w swojej twórczości i w poglądach na sztukę, o tem nie miejsce rozprawiać w krótkiej notatce. *Z. Wasilewski.*

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Minister Bennechen myślał o tych przykrościach, jakie będzie miał w domu, gdy Krystyna nie pojedzie do domu; nie obawiał się tyle całej pracy opozycyjnej, ile swej żony, skoro ta rozpoczynała kampanję regularną. W takich razach bowiem węszyła na wszystkie strony i szpiegowała wszystkie kroki swego męża, a wtedy bardzo łatwo mogło wyjść na jaw, co było tak głęboko ukryte, tak bezpieczne, dopóki żona jego była w dobrym humorze i dopóki żyli z sobą na dobrej stopie.

Podczas gdy tak chodził po pokoju, Mo palił w piecu a tracił przytem ogromnie wiele czasu.

Minister od czasu do czasu spoglądał na niego, a zostawiając wszystkie *pro* i *contra* w tej głupiej historji, doszedł do wniosku, że najlepszem wyjściem byłoby to, gdyby się Mo ożenił z swoją bratanicą.

To bez wątpienia uspokoiłoby panią ministrową, nawet zadowolniło ją — a to było najważniejszą rzeczą. Prócz tego, nie było to atrybucją jego teki ministerjalnej, rozważać, czy ci, którzy się żenią, są pod każdym względem zdrowi.

A zresztą — skoro Mo chce się ożenić, to co jemu — ministrowi — do tego? Czyż mógłby mu, jako jego przełożony zabronić? Więc pocóż właściwie chodzi po pokoju i irytuje się?

Minister złożył znowu końce palców u obu rąk i zapytał zwykłym tonem urzędowym:

— Czy mówiłeś już, Mo, ze swoją bratanicą o... podobnym związku?

— Wprost rzeczy tej nie dotykałem jeszcze... Nie chciałem przedsiębrać nic, dopóki na to nie uzyskam pozwolenia pana ministra.

— A to co? Pozwolenie? Toż to Mo, twoja prywatna rzecz, z którą nie mam nic do czynienia.

— A jednakowoż nie odważyłbym się nigdy na podobny krok, nie zasięgnąwszy wprzód...

— Dobrze, dobrze! — przerwał mu minister gniewnie — jeżeli sądzisz, że dziewczyna się zgodzi, to...

— Tysiączne dzięki, panie ministrze — wybuchnął Mo i chciał uchwycić rękę swego szefa — nie wątpię, że skoro mam pozwolenie ministra...

— Nie chcę o tem słyszeć ani słowa więcej, Mo! Rozumiesz mnie?

Minister był teraz tak rozgniewany, że Mo uśmiechnął się tylko z dziękczynieniem i zniknął.

Ministrowi kręciło się w głowie, to też szukał pewnego rodzaju wypoczynku i wytchnienia w zwykłej codziennej pracy.

Wieczorem, przyszedłszy do domu, rzekł do żony:

— Moja droga Adelajdo, bardzo mi przykro, ale muszę ci powiedzieć, że Mo upiera się przy swoim zamiarze co do...

— Wiesz co, Danielu — przerwała mu żona — teraz naprawdę zaczynam wierzyć, że tak czy owak ten człowiek trzyma cię w swoich szponach.

— Tylko spokojnie, Adelajdo, trochę zimnej krwi — rzekł minister podnosząc cokolwiek swą białą rękę — zdaje mi się, że możnaby tę dziewczynę uczynić zupełnie nieszkodliwą bez wysyłania jej z powrotem do domu.

— A to jakim sposobem? Czy wolno się dowiedzieć?

— Naprzykład mogłaby wyjść za mąż?

— Tutaj w domu?

— Tak, kochana Adelajdo, za swego stryja.

— Za Andersa? Ta młoda dziewczyna za to stare straszydło?

— No, widzisz — rzekł minister, zrzucając przed lustrem krawat — to właściwie nic się nas nie tyczy.

— No, pod tym względem masz może słuszność — odparła ministrowa z wahaniem — zdaje mi się jednak...

— To by ją uczyniło zupełnie nieszkodliwą — ciągnął minister dalej.

— To prawda — zgodziła się ministrowa — ale ten wstrętny Mo! Czyż prócz tego nie opowiadałeś mi raz, że on...

— Urzędownie o tem nic nie wiadomo, czyż przy każdem małżeństwie trzeba badać, co było...

— Tak, tak, masz słuszność Danielu! Jesteście miłem towarzystwem, wy mężczyźni! Ale, skoro tak tam powiedziałeś, to nas to nic a nic nie obchodzi i obchodzić nie powinno.

— Właściwie takie jest i moje zdanie, droga Adelajdo, nie tykamy się przecież tej sprawy wcale.

Pani ministrowa, zastanowiwszy się chwilę, przyszła również do wniosku, że takie wyjście byłoby najlepszem.

— Czy to ty powziąłeś taką myśl Danielu? — zapytała figlarnie.

— No, tego stanowczo twierdzić nie chcę.

— Jesteś jednak sprytnym Danielu!..

* * *

Krystyna zaczęła pojmować nareszcie, o co rzecz chodzi. Stryj Anders, po ostrożnym wstępie oświadczył jej, że minister życzy sobie pewności w obec tych wszystkich pogłosek, jakie kursują po całem mieście.

Małżeństwo ze stryjem Andersem było według jej pojęć arcydoskonałą partją. Otoczenie, do którego należała, nauczyło ją tego, co się nazywa małżeństwem z rozsądku, a gdy do tego wszystkiego doszło jeszcze to, że ojciec jej może życzył sobie tego związku, przeto przeszkód nie było już żadnych.

Nie miała żadnych obowiązków, żadnemu z mężczyzn nie przyrzekła nigdy nic. Dlatego też bolało ją tem więcej, że ją o to posądzano, a raczej oskarżano.

Gniew jej zapłomieniał się szczególniej gdy myślała o doktorze. Był to jednak gniew boleśniejszy nad wszystko co kiedykolwiek odczuwała.

A chociaż nie opłakiwała żadnej zawiedzionej miłości, to jednakowoż rzuciła się na posłanie i płakała przez noc całą po wieczorze, którego stryj Anders zapytał się jej bez ogródek czy chce zostać jego żoną.

Wypłakawszy się jednak, stała się zimną i rozsądną i utwierdzała się w tej myśli, że teraz wszystkim, a w szczególności i przedewszystkiem doktorowi pokaże, jaką jej krzywdę wyrządzono.

Nazajutrz rano przyrzekła stryjowi Andersowi, iż zostanie jego żoną.

XII.

Pierwszego lipca w kościele św. Trójcy wziął woźny ministerjalny Anders Mo ślub z panną Krystyną Vatuemo.

Prócz zaproszonych, było jeszcze bardzo wiele ludzi w kościele, minister Bennechen sam znajdował się w orszaku, ponadto była to przecież bardzo zajmująca para: starzec i młoda dziewczyna.

Zresztą nie wyglądało to tak bardzo dziko. Pomimo siwych włosów stryj Anders wyglądał bardzo przyzwoicie jako narzeczony z tym wysokim sztywnym kołnierzem, w czarnym surducie i przy złotym łańcuchu, podarunku ministra. A Krystyna była tak wysoka i wyglądała tak po chłopsku, że młodość jej nie biła tak bardzo w oczy; prócz tego była blada i poważna.

Rodzina ministra Bennechena wyjechała na wieś, a pani ministrowa w swej dobroci posunęła się tak daleko, że salon stołowy i przyległy pokój oddała do użytku gości weselnych.

Gdy orszak powrócił z kościoła, wypito na dole w mieszkaniu po kieliszku wina, przyczem minister w krótkich słowach życzył nowożeńcom powodzenia i szczęścia. Następnie opuścił towarzystwo, które teraz udało się na górę, gdzie były suto zastawione stoły.

Para młoda stanęła w przedpokoju, gdzie przyjmowała życzenia gości, w porządku, jak ci wchodzili, prócz właściwego orszaku bowiem było jeszcze mnóstwo zaproszonych gości.

Redaktor Mortensen, który teraz stał się najznakomitszym gościem, ponieważ ministra już nie było, poruszał się niedbale w salonie, gadał głośno i starał się być dowcipnym. Reszta siedziała cicho i uroczyście dokoła ścian, z nogami pochowanemi pod krzesła.

Krystyna siedziała milcząca i dziwiła się, że jej mąż ma tyle znajomości, a imponowało jej to, że widziała razem tyle ludzi z miasta. W rezultacie wszystkie miejsca siedzące zajęły „wystrojone“ damy, kilka młodych dziewcząt siedziało nawet na kominku. Panowie zebrali się na korytarzu, złożywszy poprzednio nowożeńcom swe życzenia. Było cicho jak na pogrzebie i nie słyszano nic więcej, jak tylko od czasu do czasu słówko redaktora lub głuchy szczęk naczynia w kuchni.

Było kilku woźnych ministerjalnych z żonami i córkami, sierżant policji Andersen i policjant Knudsen — ten ostatni był przyjęty tylko na próbę i stał pod dozorem Andersena.

Potem był wachmistrz Knoff w uniformie i rękawiczkach, kominiarz Lunde z żoną, siostrą sierżanta policji Andersena, woźny wyższego sądu apelacyjnego Paalsen, znany ze swych talentów towarzyskich i pani Grünner, która gotowała dla króla, gdy ten znajdował się w Chrystjanji.

Wśród reszty towarzystwa znajdował się dozorca portowy, kilku sierżantów i urzędników kolejowych w uniformach ze swemi paniami.

Kucharka co chwila ukazywała się na ganku i dawała znaki panu młodemu; ten jednakowoż wstrząsał tylko głową i spoglądał na zegarek.

Nareszcie powstał ruch między pannami przy drzwiach i weszły dwie panie. Pierwsza była wysoka, ładna dziewczyna, blondyna, z dużemi błyszczącemi oczyma. Miała na sobie jasną jedwabną suknię, kolczyki srebrne i łańcuszek srebrny z wielkim medaljonem na szyi.

Druga była otyła kobieta, lat około czterdziestu, z czarnemi, gładko przyczesanemi włosami, z dwoma małymi guziczkami w uszach. Po jednej stronie głowy miała pąsową różę, po drugiej kolibra w kokardzie z wstążki szkockiej. Pełny jej biust ukryty był w aksamitnym, ciemnoczerwonym staniku, na przodzie wyciętym, a spiętym złotą broszą w kształcie podkowy. Na czarnej jedwabnej spodnicy były przypięte małe bukieciki róż.

Redaktor Mortensen wydał okrzyk podziwu, podczas gdy przechodziły, a starsza z pań uderzyła go żartem wachlarzem.

— Moja droga Krystyno — rzekł teraz pan młody z właściwą sobie godnością — mogę ci przedstawić pannę Ewelinę Nielsen, która uczyni nam zaszczyt...

— Ależ panie Mo! Zaszczyt i przyjemność są zupełnie po mojej stronie — przerwała mu młoda dziewczyna i uśmiechnęła się uprzejmie.

Miała piękne zdrowe zęby i Krystyna przylgnęła zaraz do niej; gdyby tylko nie była tak elegancką!

Następnie przedstawiał dalej pan młody:

— Moja długoletnia przyjaciółka, pani Gluncke.

Mała, gruba jejmość rzuciła się natychmiast na Krystynę i wycisnąwszy miękkawy, wilgotny pocałunek na jej ustach, zapewniała wśród potoku słów, że Krystyna jest najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziała, bez przesady najpiękniejszą!

Teraz miano się udać do stołu.

Redaktor Mortensen przyszedł z kapeluszem w ręku i skłonił się głęboko przed panną Nielsen.

— Gospodarz nasz powierzył mi ten szczególny zaszczyt poprowadzenia pani do stołu.

Podał jej wdziecznie ramię i poszedł za parą młodą.

Potem szli wachmistrz Knoff z panią Gluncke, kominiarz Lunde z panią Paalsen, sierżant policji Andersen z panią Grünner, woźny wyższego sądu apelacyjnego Paalsen z panią Lunde, a potem reszta gości parami, stosownie do otrzymanych kart, które na korytarzu rozdawał stangret ministra.

Stół weselny ustawiony był w kształcie podkowy. W środku siedziała para młoda, po lewej stronie Knoff z panią Gluncke, po prawej redaktor z panną Eweliną. W podkowie naprzeciwko siedzieli w środku Lunde i Paalsen z swemi damami, a reszta towarzystwa podzieliła się po obu skrzydłach.

Sierżant policji Andersen był bardzo czynny i co chwila zmieniał miejsce przy stole, aż nareszcie udało mu się mieć przed sobą policjanta Knudsena.

— Muszę pani mianowicie powiedzieć, pani Grünner — szepnął — on jest przyjęty tylko na próbę i właśnie mam na niego uważać.

„Madame" Grünner nie słuchała go; była niezadowoloną z swego miejsca i z swego sąsiada; pragnęła bowiem mieć obok siebie wachmistrza i siedzieć tuż przy młodej parze. Dlatego też odłożyła na bok łyżkę; spróbowawszy zupy, szepnęła pogardliwie:

— Liebig!

Zresztą, z początku jedzono wśród najgłębszego milczenia; nie słyszano nic, jak tylko regularny szczęk łyżek, któremi posługiwano się bardzo ostrożnie i od czasu do czasu słowo wymówione półgłosem lub śmiech redaktora albo jego damy.

— Chciałbym was prosić moi państwo, abyście raczyli napełnić szklanki — rzekł pan młody tonem, który silnie przypominał ministra — moja żona i ja, pozwalamy sobie, moje panie i panowie, powitać was przy stole.

Pierwszy kieliszek czerwonego wina wypito z wielkiem nabożeństwem a wszyscy gratulowali młodej parze.

Krystyna spojrzała na obydwa skrzydła i czuła się prawie pokonaną tą całą wspaniałością. Hilda Bennechen bez wiedzy matki przystroiła stół w kwiaty i srebrną zastawę, której nie zabrano z sobą na wieś.

Urządzenie było według pojęć Krystyny świetne po nad wszelki wyraz. Pragnęła tylko, aby ci tam, w domu, mogli ją byli widzieć, jako punkt środkowy tego przepychu.

Tymczasem sierżant policji Andersen bacznie uważał na Knudsena, a gdy ten miał zamiar dotknąć się kieliszka lub butelki, wołał do niego z ostrzeżeniem:

— Knudsen!

— Tu, panie sierżancie! — odpowiadał Knudsen i prostował się po wojskowemu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Siedmdziesiątletni jubileusz Henryka Ibsena.

Henryk Ibsen, słynny dramaturg norweski, urodził się dnia 20. marca 1827 r., więc skończył siedmdziesiąt lat życia. Rocznicę jego urodzenia obchodzono dnia 20. marca br. w Chrystjanji, stolicy Norwegji, z wielką uroczystością, gdyż cały naród norwezki widzi w nim największą postać literacką swego kraju. Jego imię jest wyryte złotemi literami nad teatrem rządowym w Christjanji, a z czasem będzie wzniesiony przed tym teatrem i posąg jego.

Inne narody skandynawskie też biorą udział w obchodzie tego jubileuszu. W Sztokholmie, stolicy szwedzkiej, wszystkie teatry dawały przedstawienia ibsenowskich sztuk, liczne telegramy od króla, od korporacyj uniwersyteckich i uczonych towarzystw, od wybitniejszych osobistości, a przedewszystkiem od teatrów i ich dyrekcyj zostały wysłane do sławnego starca. W Danji zaś dziennik *Politiken* zebrał zdania o Ibsenie u różnych literackich osobistości całego świata. Najtrawniej się wyraził o nim znany dramaturg niemiecki Artur Schnitzler.

„Najmocniej działa Ibsen w swoich dramatach tem, iż dają one nietylko odcień życia ludzkiego, ale pokazują nam całe jego wnętrze. Autor cel ten osiąga tem, iż umie zawsze znaleźć ową chwilę ważną w życiu, w której przyszłość pokazuje się jasno, jako niechybna. W ten sposób otwierają się tak szerokie widoki na wszelkie strony, iż drogi, prowadzące ze świata do dramatu i napowrót do świata, leżą jasno otwarte, i że granice, oddzielające dramat od rzeczywistości, zdają się blednąć".

Skandynawskie narody mogą Ibsena uważać nietylko jako autora norwezkiego, ale jako wogóle skandynawskiego. Język, którym on pisał, jest wspólny norwegczykom i duńczykom, a tak zbliżony do szwedzkiego, iż każdy szwed bez tłomaczenia czyta dzieła w duńskim języku i odwrotnie. O ile zaś w literaturze skandynawskiej literatura szwedzka słynie i odznacza się poezją heroiczną i liryczną, o tyle słabą jest w kierunku dramatycznym. Duńczycy dawniej, a teraz dopiero norwezka literatura w olbrzymiej postaci Ibsena, lukę tę wypełnili.

Ibsen powoli dostąpił uznania. Ciężył na nim los małych narodów, których języka i literatury świat nie zna, więc mało ceni. Dopiero, kiedy w krajach skandynawskich jego sława już była ustaloną, zaczął być znanym i w innych krajach Europy.

Pierwszy jego dramat „Catilina", napisany w r. 1849 pod wpływem rewolucji w Europie, nie znalazł teatru, któryby go chciał przedstawić. Początki były trudne i dopiero „Kampehöjen" („Wzgórze bohaterów") 1850 r. — dzieło mierne wogóle — teatry przyjęły. Dramaty historyczne narodowe, z których najlepszy był: „Kungsemnene" („Materjały na królów"), pozostały zupełnie nieznane nawet w Norwegji, i dopiero sztuka nowoczesna: „Komedja miłości", okrzyczana jako niemoralna, wyciągnęła go wprawdzie z zapomnienia, piętnując go zarazem, jako przewrotnego i nieudanago genjusza.

Zniechęcony, opuścił ojczyznę i długie lata spędził na obczyźnie, w Niemczech i we Włoszech. Odtąd rozpoczyna się druga epoka jego piśmienniczej działalności. Wyliczmy ważniejsze dzieła z tej drugiej epoki: „Brand", „Peer Gynt", „Cesar i galilejczyk", „Związek młodych", „Podpory społeczeństwa", „Dom lalki", „Upiory", „Nieprzyjaciel ludu", „Dzika kaczka", „Rosmersholm", „Pani morza", „Hedda Gabler", „Mały Eyolf", „Architekt Solness", „John Gabrjel Borkman".

Ibsen te ostatnie sztuki już w Norwegji napisał, gdzie od dziesięciu lat znów zamieszkał, i co roku regularnie, jak zegar, wydaje nowe dzieło. *Al. Pom.*

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

WALCZAKI

(Nowela).

Ciąg dalszy.

I poszedł ku drzwiom, upewniając siebie, że proste jego prawo — kazać sobie otworzyć. Jednakże ręka nie decydowała się jakoś zastukać, i wypadło mu tylko udać przed sobą samym, że tu chodziło właściwie o ukrycie się przed wiatrem. Ale ani drzwi, do których Antek się przytulił, nie grzały, ani odrzwia od wichru nie chroniły.

— Do obory cheba, do Michasia?.. To już lepiej zapukać do starej Ignacowej, do okna drugiej izby... Ale wstyd!... Do stodoły... — błysnęła mu wreszcie myśl, i poszedł zaraz szybkim krokiem w głąb podwórza.

Tymczasem znowu złość go wzięła na sołtysa, i zaczął go kląć, jak tylko umiał, nieraz się powtarzając. Dopiero zakopawszy się w słomę i ułożywszy, przypomniał sobie, że to jutro spowiedź, a on tyle grzeszy: ojcu skłamał, rzemień mu chciał wyrwać, krnąbrność okazał, sołtysa zemścił... Prawda, że ten nie słyszał, ale zawdyć to... Nareszcie odpust, sołtys, książka do nabożeństwa, ojciec, nocny sygnał statku, Franka, rzemień, pocałunki, grzechy, zaczęły się plątać bezładnie w jego zmordowanej nawałem wrażeń głowie. Oprzytomniło go znów na chwilę uczucie dotkliwego chłodu w nogach, które wysunęły się ze słomy, i następnie przy poruszeniu uczucie bolu w plecach obitych.

— Żebym też choć był nie zdejmał butów i kurtki, niechby był ojciec po wierzchu bił, zawdyby nie tak... Ach, Boże miłosierny!

— Fornal, a nie syn gospodarski! Ociec sprał... sołtys sklął i, jak psa wygnał... Franka będzie się kochała z Wickiem, jak Pan Bóg przykazał!...

Wielka litość nad sobą samym zdjęła Antka, i rozpłakał się, jak dziecko.

IV.

Słońce zwysoka już przeświecało gdzieniegdzie przez jasno szare obłoki, które zaciągnęły całe niebo, kiedy mocne ojcowskie potrącenie nogą w głowę obudziło nazajutrz Antka.

— Wstawaj, wątrobo, łódkę rychtuj!

Antek wstał, przeciągnął się i wyszedł na podwórze; wiatr poprostu rwał dachy.

— Dostań nowy żagiel ze strychu, cholero!

— A możeby na starym, bo mniejszy, abo i całkiem przez... Żeby czasem wiatr...

— Nowy żagiel ci pedam, bydlaku, słyszysz? — powtórzył podniesionym głosem stary.

— I wyspę zalało — niby do siebie, spoglądając w dół ku rzece, odezwał się Antek i zaraz dla odjęcia temu znaczenia protestu dodał: — widzisz ją, jak to przybrała bez noc... A i wiatr jak się to wykręcił... Ino co cheba... — kończył, już mrucząc.

Wisiała mu na języku propozycja: „czyby nie lepiej wozem jechać", ale zbrakło mu odwagi, i milcząc, ruszył do chaty.

Obejrzenie łódki i ogolenie ojca zabrało Antkowi niemało czasu. A nim się po śniadaniu obaj umyli i ubrali, kupiony w Warszawie za 1 rubel 50 kop. zegar ścienny wybił ósmą. Walczaki — ojciec w ciężkiej kapocie, a syn w kurtce letniej – śpiesznie zeszli ku łasze, oddzielającej swykle od brzegu wysepkę, na której teraz wysterkały z wody tylko topole olbrzymie.

Towarzyszył Walczakom do brzegu i Michaś, wyrostek piętnastoletni, biały murzyn, sierota, wzięty przez starego ze szpitala Dzieciątka Jezus z dziesięć lat temu. Kręcił się on cały dzień koło starego, nie śmiąc go zaczepić, chociaż strasznie mu się chciało do Czerwieńska. Dopomógł on Antkowi przyciągnąć do wody dużą łódź, która cały tydzień już schła na brzegu, i wtedy dopiero zdecydował się odezwać:

— A możeby pan i mnie?...

— Idź, głupi, do koni — przerwał Walczak, nie patrząc nawet na niego.

Tymczasem Antek rozglądał się po Wiśle i wreszcie położył na dno łódki owinięty żaglem maszt.

— Mówię żagiel, durniu, bo na summę nie zdążym — odezwał się do niego stary.

Antek miał jeszcze na ustach uwagę: „a jak będzie z powrotem", ale zamknęła mu je myśl, że naprawdę nie zdążyłby się i on wyspowiadać, przedewszystkiem zaś znany mu był dobrze niezłomny upór ojca.

— Jemu byle dojechać — mocując się z wiatrem, rozmyślał Antek, a nazad to już lebo się przysiądzie do kogo, abo na statek bilet wykupi, a ty pchaj łódkę do dom, jak chcesz...

Wicher długo przeszkadzał ustawić maszt na miejsce, ale zaledwo targany na wszystkie strony żagiel zawisłszy z lewej strony, dostał nareszcie wiatru jak się należy, łódź, której jeszcze więcej niż połowa leżała na piasku, zerwała się, jak strzała z cięciwy. Nie zdążył stary Walczak, który zwykle siadał u steru, wziąć dobrze do rąk zastępującego ster wiosła, jak już przelecieli nad ogołoconą z drzew piaszczystą połową zatopionej wyspy i wpadli w potężny prąd zdradzieckiej rzeki. Strasno się trochę zrobiło obydwom, i stary, który musiał dobrze wytężać swoją olbrzymią siłę, żeby nie dać wichrowi obrócić łodzi na prawo, zaczął żałować i tego, że syna nie posadził u steru, i tego, że wozem nie pojechał, i tego nawet, że wczoraj właśnie pokłócił się z Jaworskim... Koni własnych nie byłoby trzeba gnać, boby się z nimi zabrał, a Antek z Józkiem sołtysiakiem niechby szli piechotą: na odpust to nawet i dla duszy lepiej.

Antek, któremu szery wrzynały się w rękę, spojrzał raz i drugi na krwią zalaną twarz ojca i wreszcie zapytał:

— Puszczę szery, przesiądziem się?

— Nie strzymasz — stłumionym głosem odparł uparty stary, chcąc dać do zrozumienia, że jest mocniejszy od syna.

Jak rybitwa, ledwo ślizgając się po wodzie, łódka — nie płynęła, lecz leciała. Antek, siedząc na dnie, wodził

wzrokiem po migającym prawym brzegu. Od tej zapierającej dech jazdy krew mu szybciej pobiegła w żyłach, i uczuł, że mu jakoś rzeświej i raźniej, i wnet nowe nadzieje zaroiły się w duszy. Na odpuście zobaczą się, jak co rok, ze starym Powałą, wujem ojca, zamieszkałym pod samym Czerwieńskiem: u niego się może nawet zanocuje, jeżeli się wiatr znów nie wykręci. A ojciec nikogo tak nie szanuje, jak jego. Dziadusiowi trzeba będzie wszystko wyłożyć, i już jeśli ten go nie przekona, to chyba...

Nić tych rozmyślań raptownie została przerwana groźnym widokiem. O jakie dwadzieścia kroków przed łódką przegradzał drogę prostą zaledwo wystający z mętnej wody i zlewający się z nią zupełnie kolorem grzbiet gliniany wrzynającego się na trzy — cztery łokcie w rzekę brzegu. Uderzywszy się o tę zawadę, główny prąd, niby piłka, ukosem od muru odbita, przerzucał się tu z głuchym rykiem na brzeg przeciwległy. I stary jednocześnie dostrzegł niebezpieczeństwo, bo widocznie wytężył się strasznie, żeby zwrócić na bok. Mimowolne rozpaczliwe „lewa!“ Antka zlało się z trzaskiem pękającego wiosła, i łódź, wpadłszy na ów grzbiet, stanęła, jak rumak, dęba i przewróciła się w tył.

Nim udało się Antkowi wytknąć głowę i otrząsnąć z wody powieki — brzeg uciekł na kilka sążni. Zupełnie prawie nieumiejącemu pływać chłopakowi tylko z największym wysiłkiem przy obfitem łykaniu wody udało się trzymać na powierzchni, ale jego wytrzeszczone z braku tchu oczy zaraz dostrzegły o jakie trzy kroki przewróconą do góry dnem łódkę, którą niósł ten sam prąd. Zarazem uczuł on, że dłoń jego jeszcze jest obmotana szerami, i odruchowo zaczął je ciągnąć: po chwili był przy łódce. Wiedział dobrze, że ona, dopóki nie nasiąknie, nietylko sama nie utonie, ale i człowieka utrzyma. Złapawszy się jej obiema rękami, przewrócił ją po wielu wysiłkach, jak trzeba. Pozostało dostać się do środka: naelektryzowane strachem śmierci mięśnie i tym razem go poratowały, ale zwaliwszy się niezręcznie na dno, o mało znowu nie wywrócił łódki. To też żeby ją choć trochę przyprowadzić do równowagi, zaledwo uniósłszy się na klęczkach, zaczął wyczerpywać z niej rękami wodę. Czuł się już bezpiecznym, pomimo to jednak z każdą sekundą wzmagał się w duszy jego jakiś niepokój. Wtem coś się przy samej łódce wynurzyło, i Antek, wprzód nim sobie mógł zdać sprawę ze swego ruchu, schwycił, zacisnąwszy zęby, kołnierz kapoty ojcowskiej, odrzucając się jednocześnie całem ciałem w tył dla zachowania równowagi.

Stary Walczak, zachłysnąwszy się niby parę razy powietrzem, po kilku słabych konwulsyjnych ruchach zawisł bezwładnie w ręku syna. Antek spróbował i jego wciągnąć do środka, ale zaledwo tylko ramiona starego ukazały się nad wodą, łódź zanurzyła się i przechyliła zarazem: nie było wątpliwości, że jeszcze jeden wysiłek, a przewróci się, i wtedy... Antek czuł, że zbrakłoby mu już sił do wdrapania się po raz drugi, a prócz tego strach bezrozumny zdejmował go przed temi mętnemi chłodnemi nurtami, unoszącemi ich, niby pęk słomy, na swym grzbiecie z szaloną gwałtownością.

Tymczasem prawy brzeg umknął zupełnie w dal, i z szumu nadbrzeżnego Antek wywnioskował, że prąd przypędził ich do lewego. Obejrzał się, ale jakgdyby ukradkiem: zdawało mu się, że ojciec wyśliźnie się z rąk przy tym ruchu. Do brzegu było najwyżej pięć kroków, ale ta groźnie szumiąca, gdzieniegdzie pianą gniewu pokryta toń zdałaby mu się teraz nawet samemu oceanem nie do przebycia, a cóż dopiero z takim ciężarem. Myśl zaś, że gdyby nie ojciec, kilkanaście uderzeń po wodzie rękami, zamiast wiosła, przybiłoby go do tego zbawczego żółtego piasku — nie przyszła mu nawet do głowy.

Tymczasem na dalekim brzegu mknęły w tył pola, chaty, lasy, ogrody, i znów pola, i znów lasy...

Ostry kant łodzi wpijał się boleśnie w jego mdlejące ręce, i Antek, jeszcze bardziej pochyliwszy się w tył, pociągnął z całych sił do siebie kapotę: guzik pod szyją oderwał się, i kołnierz udało się przełożyć przez krawędź łódki. Na kilka minut zmiana ta zdała mu się znaczną ulgą

Gdyby nie straszliwe wytężenie, Antek — cały zmoczony i siedzący po pas w lodowatej, jak zwykle podczas przyboru, wodzie — drżałby na całem ciele. Nie zastanawiał się nad tem, jak długo trwa ta żegluga, lecz ból nieznośny w palcach zaczynał mu czynić rok z minuty każdej. Oparty plecami o jedną, a nogami o drugą burtę łódki, siedział zupełnie nieruchomy, dzieląc całą swoją uwagę pomiędzy ciemieniem opuszczonej bez życia głowy ojcowskiej i jakimś, to wymijającym go, to pozostającym w tyle — kawałkiem drzewa, który mu się był zdał pudełkiem na pierwszy rzut oka. Oprócz swoich palców myślał w tych chwilach o tem tylko, coby to za drzewo być mogło: dąb, czy jesion namokły?

Wtem dziwny jakiś szum zmusił go do spojrzenia ukosem na lewo w kierunku prądu, i w tejże chwili gwałtowne uderzenie omal mu nie wyrwało z rąk kapoty ojcowskiej. Łódź całym pędem wpadła na karpę, zaniesioną tu przez wodę i uwikłaną w gałęzi topoli, która, świeżo podmyta, chociaż zwaliła się na rzekę, trzymała się jeszcze korzeniami brzegu.

I błyskawicznie Antek niby poczuł, niby obaczył sam siebie, rzucającego się jednym skokiem na te gałęzi: uginają się pod jego ciężarem, on pluska się w wodzie, dostając po nich do pnia — i oto nareszcie grunt!...

Od skoku tego powstrzymało go ciało ojca, żywe, czy nie — sam on nie wiedział i nie myślał o tem — a coś niepojętego nakazywało mu trzymać z wysiłkiem nadludzkim rękami drętwiejącemi ciężar — przeszkodę.

Łódź, która szła dotąd zupełnie prosto, zatrzymała się na chwilę bez ruchu, jakgdyby w niepewności, w jaką stronę się skierować, aż wreszcie tył jej, z początku powoli, później coraz szybciej poszedł na prawo, niby drogę przodowi zabiegając. Prawa ręka Antka na mgnienie oka oderwała się mimowoli od kołnierza ojcowskiego i chwyciła się jednej z migających gałązek, która też w niej pozostała, i natychmiast, nie przerywając ruchu, pospieszyła na pomoc rozstępującym się palcom lewej ręki.

Zielona kupa liści wraz z szumem wody w konarach zaczęła z szaloną szybkością uciekać od Antka, a wtedy konwulsyjnie zaciśnięte zęby jego się rozwarły, i krzyk rozpaczy, jak wobec znikającej ostatniej nadziei, wyrwał mu się z gardła. Na migającym teraz przed nim lewym brzegu nie było widać nikogo, ale on krzyczał bez przerwy, unosząc zarazem z wysiłkiem niesłychanym opadające własnym ciężarem powieki, żeby nie stracić z oczu głowy topielca. Z każdą chwilą chwilą coraz mniej czuł już on w ręku trzymaną kapotę, którąby się może i wymknęła, gdyby omdlałe palce, ześlizgując się, nie natrafiły na mocne wieszadło skórzane.

W kilka minut potem mignęła mu, dostając się do świadomości, rozrzucona o kilkadziesiąt kroków od brzegu wioska. Jakiś chłop z babą, przyłożywszy daszkiem ręce do oczu, patrzyli na rzekę. Ze sto kroków dalej dzieci, które bawiły się w przykutej do słupa łodzi, przerażone jego bezrozumnym wrzaskiem uciekły na wyprzódki do wsi. A on wciąż krzyczał, i własny krzyk zagłuszał mu sapanie dwóch dopędzających go statków. Dopiero kiedy z jednego rozległo

się przeraźliwe gwizdnięcie, i z drugiego odpowiedział takiż sam sygnał — Antek zcichł naraz i zwrócił głowę, chociaż zdrętwiały mózg nie był w stanie zdać sobie sprawy z tego co się działo.

Stał się był cały niby jednem rozpaczliwem, tępem poczuciem, że ojciec albo wymyka mu się z rąk, albo już się wymknął. Niewypowiedzianie ciężkie powieki opadły na oczy, i zresztą strasznoby mu było dźwignąć je teraz. Nie wiedział sam, czy to w głowie jego własnej powstał taki hałas, czy rzeczywiście mięszają się w niej chaotycznie — szum szybko bijących wodę kół, i sapanie maszyn, i głosy tłoczących się na pokładach pasażerów, których odpychali, klnąc, gotujący się do spuszczenia łodzi majtkowie.

Nie otworzył oczu nawet przy stuknięciu o jego łódkę szalupy ze statku, nie odjął rąk, kiedy jego palce, wszystkie z pozadzieranemi paznogciami, uwolnione zostały od wrzynającego się w nie rzemyka.

W niecałe półgodziny parostatki zostawiły w Czerwieńsku połowę pasażerów, w tej liczbie i dwóch uratowanych. Starego Walczaka musiano jeszcze wynieść do woza, syn zaś, ku ogólnemu podziwowi, poszedł o własnych siłach, chociaż chwiejąc się zlekka, jak pijany, naturalnie nie od wódki, której wbrew wszelkim namowom do ust na statku nie wziął: cóżby się wtedy stało z komunją? Z przystani odwieziono starego do zajazdu, dokąd odprowadziwszy ojca, Antek, wyżąwszy tylko i rozciągnąwszy porządnie ubranie, ruszył wprost do kościoła.

Wśród tłumu odpustującego w mgnieniu oka rozbiegła się wieść o przygodzie Walczaków, których uratowała tylko konkurencja dwóch kompanji nawigacji po Wiśle: dwa statki, korzystając z przyboru, zaimprowizowały sobie wyścigi prawie od samej Warszawy. Do zajazdu Gedali Goldszmita utworzyła się procesja formalna, tembardziej, że wotywa już się skończyła, a do summy jeszcze z godzinę czasu zostawało.

Drogo opłacona sława bohatera dnia przydała się bardzo Antkowi: nie docisnąłby się on był żadną miarą do oblężonych konfesjonałów, gdyby mu wszyscy nie ustępowali z drogi. Kto nie znał poczciwego i skromnego chłopaka, mógłby myśleć, że Bóg wie jakie grzechy ciążą na jego sumieniu.

Za to odszedł Antek od kratki, z za której usłyszał słowa przebaczenia Bożego, z uczuciem zupełnego zadowolenia, spokoju, błogiej, cichej radości. Nie pamiętał w tej chwili ani o ojcu, ani o Jaworskich, ani nawet o France, przepełniało go tylko uczucie, że całe nieszczęście znikło bez śladu i bezpowrotnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości artystyczne i literackie.

Marjan Gawalewicz przed wyjazdem swym na Wschód w celach literackich złożył dyrekcji teatrów warszawskich jednoaktówkę pt. „We czworo".

Koncert polskiego „Ogniska" odbył się w Wiedniu z dużem powodzeniem. Wzięli w nim udział: p. Chrząszczewska oraz pp. Jeżaj skrzypek i dyr. Ambroz. „Ognisko" urządza w czerwcu br. obchód Mickiewiczowski, ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin naszego wieszcza.

Bolesław Leszczyński, znakomity artysta dramatyczny, „jeden z ostatnich", kończy w bieżącym roku 40 lat pracy scenicznej, w tej liczbie 25 na scenie warszawskiej. Dyrekcja teatrów warszawskich urządza p. L. benefisowe przedstawienie.

Głośny pianista Józef Hoffman koncertował w ubiegłym miesiącu kilka razy w Nowym Jorku, gdzie go przyjmowano z entuzjazmem.

Znany publicysta p. Kazimierz Waliszewski, zamieszkały w Paryżu, ukończył nowe dzieło, poświęcone Marysieńce, żonie Sobieskiego. Rzecz ta wyjdzie w Paryżu, nakładem Plona i Nourita. Ma to być źródłowy romans historyczny, zawierający dużo nowych szczegółów.

„Jankiel z Soplicowa". W Warszawie ukazała się pod powyższym tytułem ciekawa broszura p. J. L. osnuta na tle epizodów, dotyczących tej charakterystycznej postaci w Mickiewiczowskiem „Panu Tadeuszu".

Teatr warszawski zapowiada następujące nowości: „Demona" operę Rubinsteina z udziałem p. Battistiniego, a z dziedziny komedji: „Po teatrze" M. Bałuckiego, „Rodzinę" Lavedana i głośną sztukę E. Rostanda pt. „Cyrano de Bergerse", w przekładzie Wł. Zagórskiego.

W Londynie zmarł znany nowelista i humorysta James Payn.

Towarzystwo dla badań historycznych nad rewolucją francuską odbyło w tych dniach doroczne zebranie w Sorbonie, na którem prof. Aulard odczytał zajmujące studjum o mówieniu sobie „ty" za rządów konwentu w r. 1794.

Teatr krakowski wystawił na benefis p. Tekli Trapszównej, utalentowanej „naiwnej" „Dziką kaczkę" Ibsena z dużym sukcesem.

Dr. S. Askenazy, docent historji powszechnej na uniw. lwowskim zapowiedział na przyszły semestr wykłady na temat: „Dzieje Europy a Polski w 18 w. aż do pierwszego rozbioru włącznie".

Znany we Lwowie tenor p. Gustaw Czernicki (Jerzyna) otworzył szkołę śpiewu w Lublinie.